Nr. 13. Lwów, dnia 1. lipca 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.
Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.
Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Chwila ta trwała około kwadransa, pieski tymczasem wróciły, a że owe 3 wilki już nie ruszały z miejsca, a reszta znikła mi z oczu, byłem w kolizyi, co z tym fantem zrobić, tem bardziej, że zaczęło się nieco zmierzchać.

Zaaplikowałem tedy powtórną dozę wycia, aby wilki prędzej zwabić; — i rzeczywiście po powtórnem wyciu, owe 3 wilki które ciągle obserwowałem, zaczęły znowu ku nam biedz, tym razem jednak wilki już się połapały, że coś jest podejrzanego, zawróciły nazad w górę, posiadały może o jakie 800 kroków od nas na śniegu i już więcej pomimo wycia nie chciały wrócić. — A że już zmrok zapadł i nie będąc pewnym gdzie reszta wilków obraca się, zmuszony byłem wracać do domu, ażeby jeszcze za światła wieczornego wydostać się z lasu na drogę.

Tak więc nie udała mi się sztuka dostania wilków, przekonałem się chyba tylko, że nie 50 tylko 10 wilków wyło. — Nocą powtórzyła się ta orkiestra jeszcze kilka razy, a rozdarłszy łanię dla posilenia zmęczonych organów, wyniosły się w inne strony.

Pomimo swej żarłocznosei i zuchwałości, jest wilk karpacki wobec człowieka wielkim tchórzem — a po dobrem nażarciu się nie bardzo daleko odchodzi od swego łupu na wypoczynek, czyli drzemkę poobiedną.

Pewnego razu, gdy rozdarły niedaleko od mego mieszkania łanię, podążyłem za ich tropem i po 2-godzinnym pochodzie zastałem je skulone w śniegu, jak pieski, każdego osobno — a gdy zbliżyłem się do nich, w okamgnieniu, jak błyskawica rozskoczyły się tak, że nim zdołałem zerwać strzelbę z ramienia i kurki odciągnąć, nie było już do czego strzelać. — Również, gdy wilki sobie co upolują, i zostaną spłoszone przy łupie, a mięso zabrane — (jak razu pewnego to u mnie miało miejsce) — okazują w najwyższym stopniu swoje oburzenie i niezadowolenie przez wściekłe wycie, powtarzane nieraz przez całą noc. Tak samo, gdy co upolują, nawołują się „członkowie“ — polowania wyciem przeciągłem a tak tubalnem, że słychać je na kilkanaście kilometrów.

Gdy wilkom sprzykrzy się jelenina, to wymaszerowują w inne rewiry, gdzie znajdują sarny i zające.

Wyśledziwszy raz 2 wilki całkiem świeże nad ranem, niedaleko domu, podążyłem za nimi w nadziei, że napotkam je niedaleko w legowisku, — i rzeczywiście po 10-godzinnym marszu prawie w metrowych śniegach napotkałem je, ale niestety nie wytrzymały i wyskoczyły na chwilę przed przybyciem. — Po drodze skonstatowałem, że zżarły 3 zające. — Podziwiałem ich strategiczny zmysł i nadzwyczajny węch.

Szły np. grzbiecikiem; nareszcie ściąga jeden zająca na odległość przeszło 200 kroków, dokąd zdąża w susach i wyciąga biednego szaraka z pod kłody, zasypanego śniegiem, skąd w nocy wcale nie ruszał; połyka go tak, że prawie żadnej farby nie pozostawia, chyba gdzieś kawałeczek turzycy, kosmyka kawałeczek lub pazurek ze skoku.

W taki sposób na ranną przekąskę skonsumowały 2 wilki 3 zajączki i to naturalnie takie — które przez noc nie ruszały, gdyż śnieg padał.

Z pozostałej czeredy 10 wilków struły się na ochłapach 3, a jeden utopił się kiedy lody ruszyły, pozostało więc 6 doborowych egzemplarzy.

Pewnego poranku około 7 godz. przybiegają dwaj strażnicy leśni M. i Ch. zdyszani ze strzelbami — meldując, że tuż nad naszymi domami, na szczycie wyje cała banda wilków w straszliwy sposób.

Chciwy strzału na tego najpotężniejszego łotra naszej fauny drapieżnej, porwałem strzelbę i nie oglądając się na to, że śniadanie niegotowe i że w torbie niema nic prócz patronów, podążyłem szybko w kierunku mi wskazanym.

Niestety, dopiero po godzinnym marszu spotkałem się z ich tropami, które grzbietem góry zaprowadziły mię około 12 godziny na czczo aż pod połoninę „Szczowną“ skąd posunęły już w ubocz jakby na legowisko. Zmęczony ciężkim marszem w dość dużych śniegach a zarazem i głodem, postanowiłem otropić połoninę. Gdy się przekonałem, że wilki są w rewirze, postanowiłem na oślep iść w kierunku uboczy, w której spodziewałem się je zastać — i nie zawiodłem się w mych przepuszczeniach.

Po godzinnym nader ostrożnym marszu, przy bardzo korzystnym wietrze zobaczyłem, jak wilki zerwały się z legowisk, a że wiatr był od wilków ku mnie, nie mogły się w pierwszym momencie zoryentować, co ich inkomoduje i skierowały swoje łby w przeciwnym kierunku odemnie. Odległość wynosiła około 120 kroków. Złożyłem się do dwóch w kupie, jak konie stojących i strzeliłem, poczem usłyszałem tylko zaharkotanie jakby psa, kiedy jest ciężko postrzelony, wszystkie jednak rozskoczyły się z wyjątkiem jednego, który jakby chciał się pomścić za zaniepokojenie, obrócił się i zaczął biedz wprost na mnie. Przypuściłem go na jakie 15 kroków i kulą strzeliłem na sztych tak, że wilk upadł mnie pod nogi i zaczął w najstraszliwszy sposób skomleć. Jeden ze strażników chciał go bić, ale że wilk w ostatnich podrygach tarzał się po śniegu, nie kazałem psuć jego skóry śrótem.

Ciekaw, co się stało z tamtymi strzelanymi, pozostawiłem zabitego na miejscu, a podążyłem ze strażnikami na miejsce pierwszego strzału.

Przyszedłszy tam spostrzegłem, że oba wilki są kulą przeszyte na wskroś, gdyż na obydwa boki farbują.

Podążyliśmy tedy za tymi tropami w nadziei, że wnet je odszukamy. Tymczasem nadeszła nadzwyczaj silna fala śnieżna tak, że nam w oczach tropy z farbą prawie zupełnie zasypywała.

Po godzinnym marszu — widząc, że nie możemy ich dojść — zresztą zaczął się już i wieczór robić, postanowiliśmy zawrócić z drogi na miejsce, gdzie wilk zabity leżał, zabrać go ze sobą i zmykać czemprędzej do domu, by za dnia dowlec się do drogi komunikacyjnej, gdyż w przeciwnym razie niepodobnemby było dostać się do domu.

Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy wilka nie zastaliśmy! Przyszedł on pomału do siebie i potoczył się po stronie uboczy w głęboki jar, gdzie z powodu spóźnionej pory i zasypanych tropów zadymką śnieżną o poszukiwaniu już i mowy nie było.

Musieliśmy tedy czemprędzej umykać z lasu, aby przynajmniej na 9-ą wieczór być w domu.

Następnego dnia rano, uzbrojeni już w lepszą amunicyę tak dla strzelby, jak i dla żołądka, poszliśmy na poszukiwania, które trwały znowu do późnej nocy a które spełzły na niczem gdyż, w nocy spadł nowy śnieg i zasypał wszystkie tropy.

Nie pozostało nic więcej, jak tylko pozostawić „status quo“ — i czekać aż pod wiosnę, jak śniegi stają.

Przy mniejszych śniegach również nie udało mi się wilków odszukać, dopiero aż letnią porą znaleźli owczarze resztki wszystkich 3-ech. Tak więc zredukowałem w tym roku całą bandę 10 wilków do cyfry 3 sztuk. Z tych były dwie suki, a jeden pies.

Pierwszego roku pozostała ta „szlachetna“ familijka bez potomstwa i nie wyrządzała już tylu szkód, co naturalnie może wyrządzić dziesięć wilczych łotrów.

W następnym roku suczki powetowały sobie przeszłoroczny zastój w przyroście w dość należyty sposób tak, że z tej trójeczki zrobiło się następnego roku w zimie potężnych czternaście przedstawicieli tego bestyalskiego rodu, licząc już w tem ojca i dwie matki.

Gdzie się wychowały i gdzie przebywały, niepodobna było dociec, bo prócz wycia pojedyńczych sztuk w nader rozmaitych punktach, nie było można nic tak dalece podejrzanego zauważyć. Co za spustoszenia taka czternastka potrafi zrobić w rewirze, przechodzi pojęcia ludzkie i powiedziałbym, że wilk dla zaspokojenia głodu, mniej robi szkody, niż dla zaspokojenia swych krwiożerczych instynktów, aby wszystko co żyje mordować, z wyjątkiem człowieka, którego w okropny sposób boi się i respektuje.

(C. d. n.)

ALEKS. REICHARDSPERG REICHARD.

Wspomnienia z polowań na rogacze.

(Ciąg dalszy.)

W sierpniu 1904. miałem sposobność odstrzelić w rewirze S. rogacza. Pojechałem tam z leśnym po południu. Ponieważ było dosyć wcześnie i ogromny upał, postanowiłem na razie jeździć po wysokim lesie. Droga prowadziła małą doliną, po obydwóch stronach teren lekko się wznosił. Prawie równocześnie z leśnym spostrzegam na około 80 kroków leżącą pod sosną wśród borowiny, sztukę. Przelotny rzut oka przez binokle przekonywa mnie, że to niezły rogacz. Ponieważ leżał tak, że łopatka była dosyć widzialną, strzeliłem do leżącego. Po strzale rogacz wyskakuje i niknie po kilku skokach poza grzbietem wzniesienia. Leśny zapytany, czy rogacz nie zaznaczył, mówi „nie proszę pana, zerwał się i uciekł". Kazałem furmanowi zaczekać, a sam idę ku miejscu, gdzie rogacz poza górą zniknął, mając słabą nadzieję zobaczenia go jeszcze wśród rzadkiego tego starodrzewia. I rzeczywiście, gdy wyszedłem na szczyt wzniesienia, spostrzegam na znaczną odległość sztukę powoli ciągnącą. Była to jednak koza, która co chwilę stawała i oglądała się. Wydało mi się to bardzo podejrzane, bo zachowywała się tak jak ta, która oczekuje pozostałego rogacza i za nim się ogląda. Budzi się we mnie przypuszczenie, że rogacz, do którego strzelałem, mógł zostać na miejscu, a nie widzialna dla nas koza leżała obok i po strzale dopiero wyskoczyła, łudząc, że to strzelany rogacz.

Wracam więc na miejsce, gdzie wózek pozostał, odszukuję miejsce, z którego strzelałem i dążę do sosny, pod którą rogacz leżał. I rzeczywiście leżał tam już martwy. Został w ogniu — kula przeszła przez osadę karku. Jest to ładny myłkus z prawym rogiem szóstaka, lewym zaś anormalnym, z powodu dawnego złamania osady, wygiętym na bok.

W roku 1903 rogacze zapowiadały doskonałe rogi. Byłem wtenczas w Radłowszczyźnie. Już wczesną wiosną, najczęściej konno przy okazyach bytności w rewirach, włóczyłem się po zrębach i krajach lasu, aby zapoznać się z rogaczami. I rzeczywiście kilku starych panów zanotowałem w pamięci, lecz najlepszy którego poznałem, wychodził na zrąb w rewirze N. Towarzyszyły mu stale dwie kozy. Rogi wydały mi się ogromnie rozchylone, a widziane z boku, bardzo szerokie. Temu rogaczowi przeznaczyłem pierwszą kulę. Przy końcu maja wybrałem się do tego rewiru i stanąłem pod zrębem, w ścianie lasu. Wiatr miałem dobry, przedemną rozciągał się zrąb, raczej kilkuletnia rzadka kultura sosnowa, po prawej stronie zaś od drugiej ściany kątowej zrębu, w nizinie, rozciągnął się pas młodej, gęstej olszyny. Olszyna ta była od mego stanowiska około 180 kroków oddalona. Słońce już zaszło poza wysoki drzewostan i cień od ściany wydłużać się zaczął, gdy na widowni pokazała się najpierw jedna sztuka — koza, po chwili druga, także koza, a wreszcie ociężałym krokiem przystając i żerując, ciągnie mój znajomy. Odległość znaczna, o strzale niema mowy. W myśli już oznaczam miejsce, do którego gdy rogacz dojdzie, będę mógł strzelać; daleko jeszcze, lecz sztuki, chociaż powoli, ale stale ku niemu się zbliżają. Wtem koza idąca przodem zbacza ku owej olszyncе i tam zaczyna żerować; to samo robi druga, a rogacz, odsunięty najdalej, wchodzi w kraj olszyny i tam o zgrozo! — kładzie się. Widzę tylko w miarę opędzania się od komarów, poruszające się tajemniczo, szeroko rozłożone rogi. O podchodzeniu nie było mowy, bo rogacz widzialny był tylko od strony zrębu a między mną a nim w dwóch punktach stały kozy. Zmrok zaczął zapadać, cichutko wycofałem się z mojego obserwatoryum i powróciłem do domu. Po kilku dniach znalazłem się na tem samem miejcu. Postawiłem trójlufek obok siebie i rozkoszuję się cudownym dniem. Ile myśli w takiej samotni leśnej się przewija — każdy wie. Troski codziennego życia mniej tu gniotą a na duszę spływa jakiś kojący spokój. Od czasu do czasu tylko przypomnienie przychodzi o celu oczekiwania i ze zdwojoną czujnością natężam wzrok i słuch. I w takiej właśnie chwili ucho moje chwyta wyraźny szelest poza mną w lesie z prawej strony. Nie poruszając korpusem, powoli odwracam głowę i widzę mojego rogacza na 20 kroków, zmierza wprost ku mojemu stanowisku. Zrozumiałem, że wszystko przepadło. Odwracam napowrót głowę, wciskam ją w ramiona i zatrzymując oddech, czekam. Nastąpiło to, na co byłem przygotowany. Rogacz przyszedł podemnie, zwietrzył wreszcie i z łomotem drapnął.

W basowym głosie drgały nuty przerażenia, gniewu i zaciekawienia. Przeczekałem dobrą chwilę, aż głos odemnie się oddalił — cicho wycofałem się na linię i odszedłem ku domowi. Po kilku dniach, wieczorem, zajmuję znowu moje stanowisko. Jakaś ciekawa sojka siada obok i zaczyna wydawać przedziwne, naśladujące to wronę głosy, to srokę, a kanię to już do złudzenia. Po lewej stronie od młodników pokazuje się samotna koza. Naraz do ucha dolatuje jakiś dziwny, a przecież charakterystyczny głos. To pies goni. Głos staje się coraz wyraźniejszy i nie ulega już wątpliwości, że gon idzie wprost w kierunku ku zrębowi. Nie upływa minuta, gdy na zrąb wypada koza a za nią w odległości może 150 kroków duży pies, a jeszcze poza nim drugi pies mniejszy. Koza idzie wprost na moje stanowisko, mijając mnie na parę kroków spostrzega mię, zbacza nagle i przewraca się. Na szczęście, nie uszkodzona powstaje i niknie w ścianie lasu. Psy jej tropem – składam się i większemu posyłam kulę, zaskowyczał tylko i znikł z horyzontu. Drugi po strzale tym nawraca i umyka; strzeliłem śrótem, lecz za daleko było, aby z dostatecznym skutkiem. Rozumie się, że po takiem zaalarmowaniu kniei nie było już dzisiaj szans na spotkanie z rogaczem — zeszedłem więc z stanowiska i wróciłem do domu. Zdawało mi się, że ten rogacz już dla mnie będzie niedoścignionem pożądaniem. Nie dałem jednak za wygrane. Drugiego czerwca padał po południu rzęsisty deszcz, ustał dopiero około trzeciej popołudniu i prześlicznie się wypogodziło. Sztuciec na ramię i w drogę. Gdy dochodziłem do zrębu, już pół zrębu było w cieniu od zachodzącego słońca. Podsuwam się najostrożniej ścianą zrębu, dochodzę do mojego obserwatoryum i zaczynam binoklami przeglądać teren. W dolinie na przeciw mnie stoi na znaczną odległość jedna koza. Przechodzę nad nią do porządku dziennego, skierowuję binokle na znany pas olszynki i spostrzegam wśród liści czerwoną plamę; powoli plama się porusza, wychyla wreszcie na nieco rzadsze miejsce i już widzę szeroko rozchylone a tak dobrze mi znane rogi. Odległość jak na express znaczna, więc trzeba podchodzić. Ściana lasu już w cieniu a pod nogami gruby dywan z mchu. Z każdą sekundą zyskuję na odległości, dopadam wreszcie jakiegoś pniaka, kładę się poza nim i rozpatruję sytuacyę. Rogacz

nie zmieniwszy kierunku posuwa się ciągle krajem olszynki, jest na dobre sto kroków, lecz częściowo kryją go olszki i trawa, za kilkanaście kroków będzie musiał przechodzić płażowinkę, właśnie w tem samem miejscu, gdzie pierwszym razem się położył. Oparty łokciami na pniaku, oczekuję na tę chwilę; wychyla się rzeczywiście w całej okazałości — celuję dokładnie — pada strzał, widzę ten charakterystyczny skok w górę wszystkimi badylami i wszystko znikło. Nie ździwi się nikt, że biegłem pędem do tego rogacza. Zdaleka widzę badyle, uderzające przed siebie krótkimi, gwałtownymi wyrzutami. Chwytam za rogi — regularny ósmak z rozdwojonemi grzbietowemi odnogami — niezbyt wysokie lecz 18 cm. rozpiętości (waga 260 gr.) Expressowa kula uderzyła w środek łopatki i wyszła po drugiej stronie prawie tem samem miejscem.

(C. d. n.)

ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

6. **Orzeł bielik**, birkut bielik, orzeł białogon, ostrzyż łomignat, (Haliaëtus albicilla, der Seeadler). Największy nasz orzeł. Długość ciała wynosi do 90 cm., rozpiętość skrzydeł 2 metry. Cechą jego jest potężny dziób, *skok w dolnej części nagi* fig. 6. i u starych egzemplarzy ogon czysto biały.

Fig. 6.



Ubarwienie bielika przechodzi przez wiele faz, zanim staje się normalnem, tak, że ptak zmieniając rokrocznie upierzenie, otrzymuje dopiero w 7-mym roku życia swą właściwą suknię.

Młode ptaki mają ton ubarwienia ciemno-brunatny z dodatkiem pstrocizny, która z wiekiem staje się coraz jaskrawszą, ogon brunatny bieleje, dziób czarny żółknieje, tak że stare ptaki mają dziób żółty, a ogon czysto biały, głowę, szyję i piersi białawe. Tęcza brunatna, woskówki i nogi żółte.

Orzeł bielik zamieszkuje całą Europę i Azyę. U nas nie rzadki i w Karpatach się gnieździ. Gniazda zakłada po wysokich starych drzewach lub wśród skał. Znosi najwyżej trzy jaja. Żywi się rybami, wodnem ptactwem; w zimie zaś ssakami i ptactwem lądowem. Z łatwością porywa zające, a nawet widziano już bieliki porywające dzieci. *Zasługuje na bezwarunkowe tępienie.*

7. **Rybołów**. Orzeł rybożer, orzeł rzeczny (Pandion haliaëtus, der Fluss- oder Fischadler). Tak tego, jak i następnego *krótkoszpona* wliczają jeszcze do grupy orłów, chociaż ich budowa, postać i obyczaje mają wiele cech odmiennych i oryginalnych. Rybołów ma nogi popielate, błękitnawe, pokryte łuskowatemi tarczami, na bardzo krótkim 5 cm. skoku.

Szpony bardzo długie, półkoliste, wszystkie równej długości. Długość ciała wynosi 65 do 70 cm., ogona 24 cm., skrzydła złoż. 49 do 51 cm.

Wierzch ciała jest jednostajnie brunatny z białawą pstrocizną na głowie. Spód ciała czysto biały. U młodych pierś szara. Tęcza żółta, woskówka i nogi popielato błękitnawe.

Rybołów mieszka w Europie północnej i środkowej, w Azyi północnej, Afryce, i w północnej części Ameryki południowej. U nas jest ptakiem przelotnym. Przylatuje do nas z końcem marca, a odlatuje z początkiem października, gnieździ się w głębi lasów i niesie 2 do 4 jaj popielato zielonawych. Żywi się wyłącznie rybami, dla rybołowstwa szkodliwy, *dla łowiectwa zupełnie obojętny.*

8. **Krótkoszpon**, orzeł gadożer (Cicaëtus gallicus, der Schlangenadler).

Nogi popielato błękitnawe, skok (10 cm) od skoku u popoprzedniego gatunku dwa razy dłuższy, gładkiemi, wielobocznemi tarczkami pokryty. Szpony wybitnie krótkie. Krótkoszpon do poprzedzającego z ubarwienia podobny, lecz rozmiarami od tamtego większy. Długość ciała 70 do 75 cm. Skrzydło 51 do 54 cm., ogon 27 do 30 cm. Wierzch szaro brunatny, spód biały z szaro brunatnemi plamami na gardzieli i piersi. Tęcza żółta. Woskówka błękitna, nogi popielato błękitnawe.

Krotkoszpon zamieszkuje całą Europę z wyjątkiem północy, północną Afrykę i południowo - zachodnią Azyę. U nas jest ptakiem przelotnym, przylatuje z końcem kwietnia, odlatuje z końcem września, rzadko jednak spotykany, choć się w naszym kraju gnieździ. Gniazda ściele na drzewach, w głębiach podmokłych lasów. Jajo niesie jedno tylko, biało zielonawo zabarwione. Pożywienie jego stanowią głównie płazy, nie gardzi jednak cietrzewiami, jarząbkami i kuropatwami, wobec czego *zasługuje na bezzwzględne tępienie.*

Kanie.

(Milvinae, Milane).

1. **Kania wielka** (Milvus milvus*), der rote Milan). Ogon mocno widłowaty (fig. 4). Końce skrzydeł dochodzą do końca najkrótszych (środkowych) sterówek w ogo-

*) Nazwy podwójne, jak milvus milvus, buteo buteo, crex crex, ect., pochodzą stąd, że z postępem wiedzy zoologicznej powstawało coraz to więcej rodzajów dla gatunków już istniejących, dla uniknięcia więc chaosu i zawikłań, postanowiono na kongresie zoologów przyjąć prawo pierwszeństwa *(lex prioritatis)* t. z. przyjąć te nazwy, które pewnym gatunkom najpierw dano. Kuropatwa szara, którą nazwał Lineusz *Tetrao perdrix* i wliczył ją do rodzaju *Tetrao*, z chwilą, gdy ta została tam wykreślona, a wraz z innemi kuropatwami włączona do swego właściwego gatunku *perdrix*, nazywa się dzisiaj poprawnie *perdrix perdrix.*

nie. U dorosłych egzemplarzy sterówki krańcowe od środkowych o 6 cm. dłuższe.

Ogólny ton ubarwienia jest jaskrawo brunatno rdzawy.

Pokrywy skrzydłowe rdzawe. U starego ptaka głowa biaława z czarnemi kreskami, które pochodzą z czarnych stosin piór.

Na całem rdzawem tle karku lancetowata pstrocizna, pochodząca stąd, że pióra mają ciemny środek, a rdzawe lub płowe obrzeżenie. Spód ciała rdzawo płowy, takie samo i podogonie. Woskówka i nogi żółte. Tęcza słomiano żółta. Długość ciała: 60 cm., skrzydła złoż. 49 do 53 cm., ogona 35 do 38 cm.

Piękny ten ptak drapieżny zamieszkuje Europę i graniczące z nią części Azyi. U nas jest przelotnym i bawi u nas od marca do końca sierpnia. Gniazda zakłada na wysokich drzewach i znosi 3 jaja białawe, ceglasto rdzawo plamkowane.

U nas dość pospolity, żywi się myszami, ptakami, młodymi zającami i owadami. *Zasługuje na tępienie.*

2) **Kania czarna** (milvus Korschun, der schwarzbraune Milan). Znacznie od poprzedzającej mniejsza. Ogon mniej widłowaty, krańcowe sterówki od środkowych tylko 2·5 cm. dłuższe. Ogólny ton ubarwienia brunatno-czarny (nie rudawy). Płaszcz brunatny, spód rdzawy. Ogon z wierzchu ciemno szary, z 10 do 11 czarnemi pręgami. Woskówka i nogi pomarańczowe, pazury czarne, tęcza brunatna. Długość ciała: 55 do 60 cm skrzydła złoż. 45 do 46 cm., ogona 26 do 30 cm.

Kania czarna zamieszkuje całą Europę, Afrykę i zachodnią Azyę, u nas bawi od kwietnia do końca sierpnia. Gnieździ się tak samo, jak i poprzednia i tak się żywi z dodatkiem ryb żywych i martwych *i jest jak i tamta szkodliwą.*

(C. d. n.)

„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

Ongwatocha, który z tyudnością dowlókł się do obozu, pozostawszy w tyle, opowiada nam, że o 25 minut drogi czuł silny odór padliny. Oczy jego błyszczą przytem. Czyżby to był „tembo“?

Uragan rozszalał się na dobre. Szybko kończymy obiad i idziemy spać. Guy kładzie się na ziemi, gdyż łóżko jego pozostało gdzieś w dżungli wraz ze zbłąkanymi tragarzami.

16 lipca. Raniutko posyłamy jednego z askarisów z sześciu tragarzami dla sprawdzenia odoru, zauważonego wczoraj, lecz wracają oni z niczem. Wówczas wyrusza Guy w towarzystwie Karissy, gdyż trzeba się bądź co bądź przekonać, jaki to zwierz gnije; a musi to być gruba jakaś sztuka, gdyż hyeny, sępy i mrówki nie dają czasu gnić nawet wielkim antylopom.

Czuć odór w tem samem miejscu, co i wczoraj. Guy posyła jednego askarisa i dwóch jeszcze ludzi na lewo, a sam rusza na poszukiwania w przeciwnym kierunku. Karissa wciąga w siebie wilgotne powietrze, lecz nie rozróżnia tego zapachu, aż nareszcie w chwili silniejszego rozdęcia nozdrzy, jego organ węchu odczuwa zapach zgnilizny. Rusza wtedy, jak kula, i z szybkością „120 na godzinę“ biegnie wprost pod wiatr. W dziesięć minut potem tryumfujący okrzyk: „Tembo ehoho“! — napełnia radością serca wszystkich. Myśliwi biegną, nie bacząc ani na ciernie, ani na kolce, ani na „miły“ zapach, który nimi kieruje, ku olbrzymiemu cielsku, leżącemu wśród kolczastego gąszczu.

W chwili, gdy ja i Henryk zajęci jesteśmy fotografowaniem Alfreda, przybywa Chandi z okrzykiem: „Tembo“, co wyrywa z piersi Alfreda potężne „Hip, hip, hurra“! Nasza radość nie ma granic; ruszamy w stronę zabitego słonia. Na nieszczęście nie mogę być obecnym przy wyjmowaniu kłów, gdyż deszcz zaczyna padać, a nadto odór jest nie do wytrzymania. Robactwo roi się myriadami na trupie słonia, pamiętajmy bowiem, że to już szósty dzień, jak ten biedny „tembo“ śpi snem wiecznym. Nareszcie kły są wyciągnięte, a strzelbonoścy nie zapomnieli o zakopaniu obu olbrzymich nerwów w ziemi; wyjęto też zęby, wyrwano szczeciny z ogona i godz. 6-ej przybywa do obozu prawdziwa procesya wraz z “kością słoniową“, którą tryumfalnie obnoszą wkoło wsi na tempo prawdziwego „cakewalka“. Kły ważymy u. p. Mackertisch'a. Jeden waży 42, a drugi 43 funty.

Cała ludność osady zgromadziła się u nas z powinszowaniami, a głównie dlatego, aby otrzymać bakszysz. Po obiedzie przyglądamy się tańcom i słuchamy śpiewów „M'yamwesi“ — pokolenia z kolonij niemieckich, z którego pochodzą prawie wszyscy nasi safarisi. Taniec jest raczej dziwnym, ale za to w śpiewie nie brak pewnej melodyi. Zwykle strofki są śpiewane solo przez jedno z dzieci, a następnie powtarzane chórem przez całe towarzystwo.

17 lipca. Od wczesnego ranka robimy przygotowania do wymarszu, i zjadłszy śniadanie o 4-ej wyruszamy nad morze. Idziemy górną częścią pobrzeża. Olbrzymie stada jakichś ptaków, podobnych do bekasów, przeciągają w pobliżu nas; co chwila spotykamy tropy bawołów, które giną w dżungli, w rodzaju tunelów. Podczas silnej ulewy zatrzymujemy się pod długiem sklepieniem skalistem, gdzie wypoczywamy na miękkiej warstwie wodorostów morskich, które tu fala naniosła, a następnie rozciągamy nasz rekonesans w cieniu filaosów[1]), pod którymi zamiast zwykłej roślinności, zalegają prześliczne łąki. Trawa tutaj jest krótko objedzoną przez stada bawołów, a pnie filaosów, są pokaleczone przez słonie, niby nasze sosny w Montpoupon[2]) przez jelenie. Świeżych jednak tropów — ani śladu.

Z nastaniem nocy robimy zasadzkę przy świetle wschodzącego wspaniale księżyca w pełni. Owinięta w ciepłą kołdrę i rozciągnąwszy się wygodnie w swojej „muchili“[3]), nie mogę się dość nasycić widokiem tego spokojnego Oceanu, który przed chwilą szalał swą rozkołysaną falą. Upływają dwie godziny tej ciszy i tego spokoju. Henryk przy prożektorze elektrycznym, a Guy z palcem na cynglu, lecz nic się nie ukazuje, nawet marny guib! A jednak cóżby to był za widok wspaniały stada słoni, a choćby nawet ba-

[1]) *Filao* — drzewo z rodzaju *Casuarina*. *(Przyp. tłóm.)*.

[2]) Majętność pp. de la Motte we Francyi. *(Przyp. tłóm.)*.

[3]) *„Muchilla“*—hamak do noszenia przez ludzi. *(Przyp. tłóm.)*.

wołów, na tem pobrzeżu morskiem! Guy daje nam lekcyę, jak postąpić w razie ataku: pozostaje nam tylko spuścić się z góry aż do samego morza, z wysokości jakich 10 metrów. Niema obawy rekinów, gdyż morze jest w tem miejscu bardzo płytkie. Ten sposób ratowania się byłby dobry przy szarży bawołów, lecz mało pomocny przy ataku słoni, o czem miał się przekonać Guy w przyszłości, gdy ujrzał słonie, szarżujące po gwałtownych spadkach górskich.

Wróciliśmy do obozu o godzinie 11 wieczorem.

18 lipca. Opuszczamy ostatecznie M'tondię o godzinie 8-ej rano. P. Mackertish przyszedł się z nami pożegnać, poczem ruszamy drogą do Kilifi. Guy chybia *di-dika*[1]) na 35 metrów, śrótem nr. 6. Pomiędzy Kilifi a Takaongą wszystkie krzaki są pokryte wielkim powojem, prawdziwą *petunią*.

Wali urządza nam śniadanie na werandzie pierwszego piętra w swoim domu arabskim. Widok stąd jest uroczy na ujście rzeki i na całą tę malowniczą osadę, złożoną z domów o typie wschodnim. Olbrzymia studnia i dawny fort stanowią tutaj jedyne ślady panowania Portugalczyków. Próbuję namalować ten widok akwarelą, lecz zieleń podzwrotnikowa jest niemożliwą do reprodukowania. O godzinie 3-ej posyłamy przez telefon podziękowania p. Mac Lean'owi, poczem ruszamy do Kuruitu, gdzie rozbijamy obóz na nocleg.

19 lipca. O 4-ej rano Guy wyrusza na bawoły, a w trzy godziny później i my puszczamy się w jego ślady. Droga prowadzi wśród wysokich traw, z których spadają do naszych hamaków, jak do parasola, tysiące chrząszczy i żuczków. Porzuciliśmy teraz pobrzeże morskie i przecinamy obszerną równinę, zarośniętą palmami „jeleniami“; wszystkie one są pokryte storczykami, — rodzajem *Angraecum*. Każę sobie podać jedną łodygę o 30 kwiatach, których zapach jest rzeczywiście nieporównany. Jakiś czas idziemy wzdłuż jeziorka, literalnie pokrytego błękitnymi nenupharami; po brzegu widać tropy „Kobów“ *(Cobus elipsiprymnus*[2]*)*, które tu przychodzą dla zaspokojenia pragnienia. Na brzegu strumienia doganiamy Guy'a i zatrzymujemy się na śniadanie.

Guy, po wyjściu z obozu, trafił na tropy czterech bawołów, za którymi szedł przez trzy kwadranse, a następnie przez taki sam czas tropił dwa inne. Trawa była w tem miejscu tak wysoka (dwa i pół metra), że kilkakrotnie przeszedł tuż obok nich, nie będąc w stanie ich wypatrzyć. Dwa razy musiał porzucić pościg, gdyż gąszcz był tak wielki, że jego strzelbonoścy odmówili iść za nim, ze strachu przed bawołami. Sądząc z tropów, dwa ostatnie były to niewątpliwie ogromne byki.

Spostrzegamy kilka małp, prawdopodobnie z rodzaju *Cercopithecus*. W powietrzu unosi się wspaniały motyl czarny z niebieskiemi plamami i czerwonemi prążkami. Na nieszczęście moja siatka do łowienia motylów powędrowała już naprzód i znajduje się po tamtej stronie strumienia.

Do Mombasy przybywamy o godz. 5 minut 20, i mimo przebytych 27 mil[3]) (Guy zrobił około 35), mamy jeszcze dość siły, aby się udać do miejscowego hindusa, u którego stalujemy bransoletę, ze szczecin zabitego słonia.

(C. d. n.)

[1]) Rodzaj maleńkiej antylopki. *(Przyp. tłóm.).*
[2]) Rodzaj dużej antylopy. *(Przyp. tłóm.).*
[3]) Angielskich. *(Przyp. tłóm.).*

Korespondencye.

Lwów, dnia 6. lutego 1907.

W numerze 5-tym tegorocznego „Łowca“ wzywa mnie Pan Józef Łysakowski, abym opisał co ciekawsze zdarzenia z polowań na lisy. W przekonaniu, że takie zdarzenia mogą zainteresować kolegów myśliwych, umieściłem już kilka w „Łowcu“. Opisałem polowania trwające przez cztery lata na lisy z pogonką, w stodołach w Hawłowicach, — zdarzenie z lisem, którego zabiłem w Olejowie, gdy gonił i był bliski złapania bażanta, o lisie, który się podkradał do małych sarniąt, a którego mama goniła je ze trzysta kroków i atakowała przednimi cewkami i parę innych. Obecnie nie podejmuję się napisania pamiętnika, choć chętnie słów kilka w tej sprawie napiszę. Zaczynam od podziękowania Panu Łysakowskiemu za wyrazy pełne życzliwości, umieszczone w „Łowcu“, życząc nawzajem, aby do tysiąca zabitych lisów doprowadził. Pierwszego lisa zabiłem będąc studentem w roku 1849, a choć to tak dawno temu, żywo mam ten wypadek w pamięci. Będąc na wakacyach, pojechałem do mego wuja, który mieszkał w Płonnej. Już wtedy byłem zapalony do strzelby i polowania i miałem na sumieniu zabicie różnych ptaków, a nawet kilku zajęcy. Obiecał mi wuj, że na drugi dzień zapolujemy wieczór. Gdy już wszystko było zadysponowane, otrzymał wuj list od c. k. starosty, że na drugi dzień przyjeżdża na obiad. Gdyby się dziesiąta część tego, co ja staroście życzyłem, spełniła — byłby zginął z kretesem, ja dłużej jak dzień w Płonnej zostać nie mogłem, a tu wpada jak bomba szwab starosta i druzgocze cały projekt i nadzieję zabicia co najmniej rinocerosa, o! bo fantazye u młodego studenta sięgają daleko! — Szczęście, że wuj zażegnał tę katastrofę — oświadczając, że z moim ojcem zostaną w domu i będą przyjmować „Kreishauptmana“ — a ja pójdę sam na polowanie z dwoma strzelcami, Matwijem i Michałkiem i dwoma sworami ogarów. Dobre to były czasy, gdy wystarczało zawołać — sworuj psy, idziemy na polowanie, a w pół godziny łowy się rozpoczęły. Lasy były w Sanockiem większe, niż obszary pól, więc dokoła dworu las blisko. Nazajutrz świtaniem, (bo po rosie najlepiej psy goniły) — uzbrojony zostałem w pojedynkę kapslową cal. 12-go, na której lufie było napisane „Segalas“. Strzelby te cieszyły się dobrą reputacyą, na którą rzetelnie zasługiwały, bo były dobre — i wolałem ją niż drugą dwururkę z napisem „Lazarino Cominazo“, która była mniej składna.

Oprócz nabitej Segalasówki dostałem sześć ładunków blaszanych z prochem i grubym śrutem, jako zapas na cały dzień, z których cztery niezużyte przyniosłem do domu. Z Segalasówką na plecach ruszyliśmy do lasu, tam postawił mnie Michałko nad potokiem zarosłym buczyną, tak, że mogłem strzelać na jednej i drugiej uboczy — i powiedział: „niech się panicz stąd nie rusza, bo to feine stanowisko, na lisa“. Puszczono psy.

W jakie pięć minut po otrąbieniu, psy zaczęły gonić. Któż z was, osobliwie starszych myśliwych, nie pamięta tej miłej dla ucha muzyki, której tony odbijały się echem pomnożone, wśród starej kniei?

Stałem gotów do strzału, śledząc pilnie dokoła, lecz gon poszedł do góry; słychać było, że psy gonią, ale daleko, usiadłem na pniaku czekając co się stanie, w jakie

pół godziny, słyszę, psy wracają goniąc zaciekle, wprost ku mnie.

Czułem bicie własnego serca i pilnowałem, czy nie zobaczę zwierza, wtem na przeciwnej uboczy zobaczyłem galopującego lisa, strzeliłem od przyrzutu, a że go nie chybiłem, łaska boska. Lis zrulował w ogniu, biegnę ku niemu, bo psy nachodziły z góry, więc bałem się, że go rozszarpią, lis w nogi do potoka, ja za nim, strzelba nie nabita, lis wpadł w gąszcz, byłem w rozpaczy, lecz za chwilę widzę, że go Zagraj tłumi, zatrąbiłem pojezdnego, lisa odebrałem i wyniosłem na drogę, gdzie strzelców spotkałem, rzuciłem go Michałkowi pod nogi i głosem nastrojonym do ważności chwili, rozkazałem „przytrocz tego hultaja do torby“. Tak zginął pierwszy lis z tysiąca. Dnia tego goniły psy kilka razy, ale nie zabiliśmy nic, ja chybiłem na pięć kroków zająca — i nie mogłem się nadziwić, jak mógł zając pójść, kiedy w galopie na większą odległość zginął lis. W późniejszych latach przekonałem się nieraz, że to się często zdarza.

Że ja doszedłem do 1000 zabitych lisów, a obecnie już tę liczbę przeszedłem, zawdzięczam temu, że mieszkałem w Sanockiem, w okolicy lesistej, gdzie w skałach nad Sanem lisy się wywodziły, że miałem licznych krewnych i przyjaciół, u których polowałem, kiedy tylko zapragnąłem i prawie wszystkie knieje podgórskie służyły do mojej dyspozycyi, polowałem zawsze z psami, a że miewałem dużo wolnego czasu, pasyi do polowania i wytrzymywałem wszelkie trudy z tem polowaniem połączone, więc biłem lisy bez litości.

Polowałem przeważnie z psami. Oprócz tego na podchodne, na podjazd saniami, wabiąc na zająca lub myszkę (tym sposobem zabiłem około trzystu lisów), przy przynęcie, w nocy. Strułem około dwudziestu. Na żelazka nie złapałem żadnego, jakoś mnie się ten sposób łowienia nie wiódł, zresztą jeden Mikita mnie do tego sposobu zniechęcił.

Czytałem niemiecką książkę, w której było opisane, jak się lisy łowi w żelaza, że trzeba „ankiren“ tj. znęcić lisa, podrzucając mu kawałki mięsa, ptaszki małe, a on przyjdzie i wsadzi łeb w żelazo, by zjeść przysmak. Kupuję żelazo i zaczynam „ankiren“.

W majątku, w którym mieszkałem, było widać z ganku domu duży dziedziniec, za nim dwa stawki, za nimi duży łan pola, po którym lubiały lisy myszkować. W miejscu, gdzie je widywałem, kładę na śniegu na drobne kawałki porąbaną wronę, pióra z niej rozrzucam dokoła. Lisiura na drugi dzień o godzinie jedenastej znalazł te delikatesy i patrzałem się przez szkła, jak pozbierał kawałki, pojechałem saniami na miejsce i podrzuciłem, nie wysiadając z sani, pięć znów na kawałki posiekanych wróbli. Nazajutrz koło jedenastej lis pozbierał przynętę i znów patrzałem na tę operacyę przez binokle. Położyłem mu kilka małych kawałów mięsa, a w środku jeden większy, taki większy miał leżyć na drugi dzień na deszczułce żelaza. Następnego dnia powtórzyło się to samo, lis zjadł mięso. Nastawiłem żelazo, przez przetak zasiałem je śniegiem, na deszczułce przywiązałem kotlet mięsa, dałem piór z wróbli i dwie główki z ptaków po bokach. Zapowiedziałem w domu, że jutro o jedenastej złapię w oczach wszystkich lisa. Nadchodzi jedenasta, lis punktualnie się stawia na śniadanie, binokle, perspektywy skierowane na niego, on chodzi dokoła żelaza, coś zbiera, ja przepowiadam, teraz będzie mój, tymczasem on truchcikiem poszedł do lasu. Miejsce, gdzie było żelazo, było z 600 kroków od ganku odległe, więc biegnę tam, i co się stało, lis zjadł główki ptaków, a kotlet i śnieg obok pokropił żółtym płynem, a że lis wina nie nosi, łatwo było odgadnąć, co zrobił.

Obraza rozmyślna! Zły wracam do domu, a gdy opowiedziałem, co się stało, śmiech ogólny. Kazałem zaprządz do sani, wziąłem psa i myśliwych, pojechaliśmy zastąpić na lisim przesmyku w lesie, a leśny puścił psa na trop lisa. Pies wpadłszy do lasu, odezwał się parę razy, a lis już był koło mnie, padł strzał, a mykita myrdnął koziołka, futrem zapłacił za zniewagę wyrządzoną, ale ja straciłem ochotę łapania lisów w żelaza.

Raz wybrałem się w góry na dziki do majątku mego sąsiada, który dzierżawił żyd. Mieliśmy z sobą tylko sztucce, bo tam drobnej zwierzyny prawie nie było.

(C. d. n.)

Żurawno dnia 22. kwietnia 1907.

Po katastrofie! Nareszcie zeszły śniegi i odsłoniły całe spustoszenie, jakie swemi masami wyrządziły. Dla myśliwych i leśników zapisała się ta zima bardzo smutno. Zwierzyna w większej części wyginęła, a kultury i młodniki ścięły wierzchem i zgryzły zgłodniałe zające i sarny, a spodem zniszczyły myszy, co się tylko zniszczyć dało.

Smutne nadzieje na przyszłość dla myśliwych i leśników w jednej mierze. Myśliwemu ubyło zwierzyny tyle, że będzie musiał wiele lat hodować, nim przynajmniej do pierwotnego stanu ją doprowadzi. Leśnik zaś będzie miał przez dłuższy czas mniej szkody od zwierzyny, zato myszy, którym ta zima nadzwyczaj sprzyjała, poprowadzą zniszczenie kultur w przyszłej zimie dalej.

Aby uwidocznić wielkość szkód w zwierzostanie, które ostatnia zima wyrządziła, pozwolę sobie ubytek tegoż w jednym rewirze, ile możności na podstawie dokładnych obliczeń, cyframi przedstawić.

W 800 morgowym rewirze leśnym, Bakocyn, który otacza folwark 200 morgowy, znajdowało się w jesieni około 70 szt. sarn, około 75 szt zajęcy, 96 szt. kuropatw, i 30 szt. bażantów. Wśród zimy i po zejściu śniegów obliczony ubytek wynosi 46 szt. sarn, 30 szt. zajęcy, 90 szt. kuropatw i 12 szt. bażantów.

Gdy tylko spadły większe śniegi, poczęto systematycznie rąbać dla sarn i zajęcy osiki, dęby, jabłonie, iwy itp., uruchomiono wyręby etatowe, zadawano po wszystkich zakątkach rewiru najpiękniejszą koniczynę, porobiono budki dla kuropatw, w które zadawano żer tak długo, dopokąd kuropatwy nie odleciały na równiny nad brzegi rzek, zadawano żer bażantom po zasypach i przestrzegano, aby zwierzyny, szczególnie sarn zbytecznie nie płoszono. Mimo tych wszystkich zabiegów przecież tak strasznie zwierzyna ucierpiała.

Najlepiej przezimowały bażanty, trzymając się zasypów. Ubytek ich spowodowały przeważnie jastrzębie, którym łapanie bażantów i kuropatw wysokie i twarde śniegi bardzo ułatwiały.

Najgorzej przetrwały zimę kuropatwy, które w poszukiwaniu za zielonemi oziminami, w większej części odleciały już w późnej jesieni na chłopskie pola. Reszta zaś odciągnęła na równiny, gdy śniegi stwardniały, bo tam przecież miejscami do ziemi się dostały.

Z 96 szt. pozostałych w jesieni, powróciły po zejściu śniegów na obszary folwarku Bakocyn i na przyległe zręby 3 parki.

Sarny przeważnie pogrzęzły w zaspach śnieżnych i poginęły w nich, czego dowodzi ta okoliczność, że znachodzono je stojąco w śniegach zdechle i zwykle więcej sztuk razem. Nie wykluczone są wypadki zapalenia płuc, co zresztą jest zrozumiałem, gdy się zważy forsowanie się sarn w śniegach i przemarznięcie przy okropnem zimnie.

Zajęcy najwięcej znachodzono zdechłych po stajaniu zasp koło brogów z koniczyną i sianem. W takich wypadkach trudno przypuszczać, aby ginęły z głodu, zdaje się, że i dla nich było zimno za wielkie, a może zostały podczas żerowania pod brogami zawiane i nie mogły ze śniegu wyleźć.

Doświadczenie uczy, że ciężkie zimy nie przychodzą odosobnione. Śnieżne i nadzwyczaj mroźne dwie zimy w latach 1896/7 i 1897/8, które jednak obie razem zwierzostanów nie bardziej zniszczyły jak obecna, a to z tej prostej przyczyny, że wielkie śniegi obydwu zim nie leżały razem wziąwszy, dłużej jak w zimie ostatniej, są tego przykładem.

Każdy dbały hodowca i myśliwy powinien wcześnie w jesieni wszystko ku ochronie zwierzyny poczynić, by nie był przez drugą taką zimę zaskoczony. *J. Stary.*

Stosunki łowieckie w pow. tłumackim.

„Łowiec“ uracza swych czytelników korespondencyami przepełnionemi tylko utyskiwaniem, narzekaniem członków myśliwych, na stosunki łowieckie w naszym kraju, a już ostatnie korespondencye, wywołane srogą zimą, formalną desperacyą serce miłośników zwierzyny, napełnia!

Kreślę poniższą korespondencyę, celem przerwania tych narzekań i podzielenia się z czytelnikami wiadomością, że nie wszędzie tak źle, a u nas najlepiej, nic nam zima nie zrobiła, a to tylko „gorliwe zaopiekowanie“ się zwierzyną to sprawiło.

Znając powiat tłumacki, od przeszło 20-tu lat, polując prawie we wszystkich kniejach, przed laty i w ostatnich, mogę przedstawić dokładnie różnicę, między dawniejszym, a obecnym stanem zwierzyny.

Jak powyżej zaznaczyłem, powiat tłumacki, a też horodeński, sąsiadujący z nim, to najszczęśliwsze pod rozmaitymi względami, a pod względem łowiectwa, nie ma im równych w naszej Galicyi.

Gdy inne powiaty z ochotą przystąpiły do reorganizacyi Delegatów, powiększenia ilości tychże, u nas o tem ani mowy niema. Bo i po co? Nie dość tych, którzy są? Wyborem nowych lub dodatkowych, tylko się obrazi obecnych, albo narazić się można Tym, którzyby nie zostali wybrani, stąd kwasy, nieporozumienia i t. p., a nam poco tego? nie lepiej żyć w zgodzie?

Nowa ustawa. A cóż ona może nas obchodzić? Ależ niech przejdzie w całej rozciągłości, może nawet za mało żądań, owszem, ona nam tylko przysporzy więcej „myśliwych“, a tych nam brak! Każdy będzie polować, dzierżawców gm. polowań nie będzie, naturalnie kłusowników też, a nawet c. k. Sąd i Starostwo będą zadowolone, bo skarg nie będzie, a więc i kawałków do załatwienia.

Żądają, by sprzedawana zwierzyna była oznaczoną, kto kupił, kto zabił, stemplować jak w oborze zarodowej bydło! Ależ to nonsens! U nas ani jeden głos nie poparłby tego projektu. A broń Boże uchwalenia (a jeszcze gorzej wprowadzić podobną ustawę) przyczynienia czynności c. k. Starostwu, żandarmeryi, właścicielom polowań, co tu zakrętaniny! a wieleby biedni żydkowie utracili!

Wszyscy się starają podnieść stan zwierzyny łownej. A to po co? Nie dość, że każą płacić za szkody wyrządzone przez dziki, potem jeszcze płacić, za zające, sarny, kuropatwy?! Małoż to płacimy, jeszcze tego wydatku nam potrzeba? Gdy przed laty, a nawet niedawno, roiło się w naszych kniejach, po polach od zajęcy, sarn, dziś pustkami lasy świecą i pola, postaraliśmy się o wybicie wszystkiego, jeszcze kilka lat takiej gospodarki, a zająca zobaczymy tylko w innych powiatach polując, lub w jakichś muzeach.

Wszyscy się skarżą na wrogą ubiegłą zimę, wiele tej zwierzyny zginęło! A my nie. Wprawdzie też mieliśmy po 24° i 26° R. mrozu, śniegu po metrze i wyżej, zawieruchy, pomimo tych przeciwności jednak zwierzyna u nas, można powiedzieć śmiało, nic nie ucierpiala, a raczej nie ubyło jej. Nie wierzysz Szan. Czytelniku? najsolenniej Cię zapewniam, że tak, a powód ten, że zwierzyny nie było, więc trudno, by ginęła! Chyba u tych kilku jednostek „zacofanych“ myśliwych i miłośników zginęła, pomimo troskliwej opieki.

Wspomniałem o „zacofanych“ myśliwych, więc dodam, że jest ich tu kilku, na utrapienie nasze i c. k. urzędów! Skarżą po sądach, starostwach spokojnych ludzi, chodzących dla przyjemności użycia ruchu, wprawdzie ze strzelbą, albo ze sidełkami, ale jakto ruszyć się z domu bez strzelby, gdy psy wściekłe włóczą się. Broń Boże spotkania się z jakim! A gdy nawet zabije się jakiego zająca, choćby w maju, lipcu to zaraz o głupiego szaraka tyle krzyku, czy to warto robić! donosić do starostwa, sądu i przyczyniać tylko i tak trudu obciążonym pracą urzędnikom, a jeszcze podczas strajków, rozruchów, gdy WP. Starosta, nie znał ani godziny, ani minuty, w którą stronę będzie zmuszony wyjechać, załatwiać spory między spokojnym ludkiem a żydem dzierżawcą!

Koniec końców, staramy się tutaj wszelkimi sposobami wytępić łowną zwierzynę, by po niej śladu nie pozostało. Przed kilkunastu laty, ba przed kilku, roiły się po kniejach zające i sarny, dziś ich niema, a podany poniżej wykaz, najlepiej da poznać, co w naszym powiecie się stało.

Pomijam mniejsze knieje, podaję tylko znaczniejsze obszary, gdzie mogłaby i powinna zwierzyna, znaleść opiekę ku swej rozmnoży i przyjemności właścicieli.

Olesza, majątek rozparcelowany, dawniej bardzo ładny stan zwierzyny, dziś prawie nic niema; dzierżawca polow. czyni starania, ale bezskuteczne, z powodu kłusownictwa, a sam nie mieszka w miejscu.

Dolina, właściciel żyd, kto chce i nie chce poluje, nic nie było i niema.

Budzyń, własn. paraf. rzym. kat., jak Dolina.

Jackówka, dziś własność żydowska, pustynia, przed kilku laty należąca do klucza tłumackiego, jedna z najlepszych kniei.

Okniany, właśc. nie myśliwy, stan sarn, jako taki.

Kutyska, właścicielka, jej pełnomocnik „poluje raz na rok“, ze skutkiem mniej niż miernym.

Niżniów, państwo, właściciel myśliwy, poluje się raz na rok, zwierzostan bardzo słaby, z przyczyn lokalnych.

Bratyszów, właśc. nie myśliwy, nic nie było i niema.

Pałahicze, właśc. myśliwy, knieja do niedawna przepiękna, dziś prawie pusta, trochę sarn, nie poluje się od kilku lat.

Ostrynia, właściciel i właścicielka myśliwi, dawniej knieja jedna z najlepszych, dziś prawie pusta.

Roszniów, wł. myśliwy, stan zwierzyny mierny.

Strychańce, dawniej przepiękna knieja, upadła od kilku lat, przy obecnym właścicielu podnosi się.

Kłubowce, właśc. myśliwy, jedna z najlepszych do niedawna kniei, obecnie mniej niż mierna.

Nadorożna, gdy należała do klucza tłumackiego był ładny stan, obecnie upadek prawie zupełny.

Przeniczułki, Chomianówka, właśc. Ostryni, i taksamo upadek widoczny.

Czarnołożce, jedna z najlepszych kniei przed laty, dziś chyli się ku upadkowi.

Hryniowce, mała knieja, była i jest jedną z najlepszych, właśc. myśliwy.

Markowce, właśc. myśliwy, z pustej kniei doprowadził do bardzo ładnego stanu zwierzyny.

Hostów, Krzywotuły, n. i st. kurator, myśliwy, z przepięknego stanu zwierzyny doprowadził do kompletnego upadku, gdy przed laty do 200 sztuk w dwu dniach było na rozkładzie!

Bohorodyczyn, dawny i obecny właśc. nie myśliwy, nic nie było i niema.

Przybyłów, obecny właściciel doprowadził do lepszego stanu zwierzyny, objąwszy pustkę.

Bortniki, właśc. nie myśliwy, knieja doprowadzona do kompletnej ruiny, a do niedawna najpiękniejsza w powiecie. W latach 80-tych wydzierżawił ten majątek ś. p. S. Knieja była pustą. Po 12-tu latach prawdziwej pracy ś. p. S. doprowadził do tego, że na jednem polowaniu w roku, zabijaliśmy przeszło 200 zajęcy i kozłów kilkanaście. Gdy po nim objął zarząd lasów klucz tłumacki, z roku na rok chyliła się knieja do upadku, i upadła kompletnie.

Pużniki, właśc. myśliwy, stan dość dobry.

Chocimierz, od lat kilkunastu w rękach Towarzystwa, jedyna może knieja, która się dziś w powiecie stale podnosi, przedewszystkiem od czasu objęcia stanowiska łowczego przez WP. P., stan b. ładny, pomimo nie sprzyjających warunków.

Z powyższego zestawienia widać, że z bardzo małym wyjątkiem, wszędzie nie do upadku, ale zagłady zwierzyny łownej dążymy i to bardzo szybkim krokiem.

Co jest przyczyną tego?

W pierwszym rzędzie ubytek prawdziwych myśliwych, których nam śmierć zabrała, jak: kń. I. Puzyny z Czarnołoziec, O. Doschota z Pałahicz, T. Szymanowskiego z Bortnik i innych, a przez nikogo nie zastąpionych.

Powtóre, przejście wielu majątków w żydowskie ręce, lub rozparcelowanie; w tych kniejach kto chce i nie chce poluje, nie bacząc nawet na czas ochronny.

Pod pretekstem, że w kilku majątkach są dziki, poprzedni starosta rozdał niezliczoną ilość wolnych kart na broń chłopom, a ci naturalnie wolą zająca lub sarnę zabić, które łatwiej na zasiadce spotkać, niż dzika. Proszę jednak zaglądnąć do arkusza w Starostwie, wielu myśliwych zażądało kart myśliwskich? Na palcach można porachować, a „myśliwych“ w powiecie? kilkudziesięciu!

Wypadną imieniny w lipcu czy sierpniu, jak tu szanownych sąsiadów nie przyjąć zającem, mając swój las, albo w styczniu kuropatwami!

Albo naprzykład taki stosunek: właściciel nie chcąc, by jego leśny polował, musi mu kilkanaście koron płacić prócz pensyi, by nie polował na swą rękę! A jeśli właściciel tego nie zrobi, to doprowadzi mu leśny czy pobereżnicy do kompletnej ruiny knieję, jak uczyniono z Ost. Klub. itd.

A i Ci Panowie myśliwi, choć strzegą przed kłusownikami, raz w roku w rewirze polują, czy podadzą, w zimie karmę lub przed drapieżnikami ochronią zwierzynę? Nie; albo tak mało i to dla „oka“ przed polowaniem, że ledwo na kilka dni wystarczy.

Nie dziwiłbym się biednemu właścicielowi lub dzierżawcy, że nie może, jakby chciał opieką otoczyć zwierzynę, bo fundusze mu nie pozwalają, ale prawdziwie majętnym ludziom, magnatom (bo mamy ich też w powiecie) dziwię się, tembardziej że są myśliwymi i w innych majątkach, w innych powiatach położonych, inaczej postępują. A może, widząc, u nas upadek, nie przykładają ręki ku opiece? Czyżby w tem była racya? Zdaje mi się, że nie! Owszem powinni dać przykład.

Nakoniec, jak już wspomniałem, nie mamy żadnego poparcia ze strony c. k. Starostwa, Sądu i żandarmeryi. Złapiesz kłusownika, odbierzesz mu strzelbę, do Starostwa ją odeślesz, z doniesieniem — po pół roku dowiadujesz się, że kłusownik nie tylko nie został ukaranym, ale oddano mu strzelbę, by dalej polował. Dlaczego? bo niestety widząc raz w swem życiu WP. Komisarza „od kłusowników“ nie poznałeś go, spotkawszy się z nim i nie ukłoniłeś mu się. Stąd obraza i niepomyślny wyrok dla ciebie. Ten fakt spotkał podpisanego w Starostwie horodeńskiem, bo kłusownicy przynależni do tegoż Starostwa i tam skarżyć trzeba było.

Na szczęście, mamy w Tłumaczu energiczniejszego starostę i ufność w nim pokładamy, że dla kłusowników będzie mniej pobłażliwym i żandarmeryę też pouczy i pomoże tym kilku myśliwym w ich staraniach i pracy, ku rozmnożeniu i ochronie zwierzyny,

Nie chcę już dłużej opisywać naszego „szczęśliwego“ powiatu pod względem łowieckim, zanoszę tylko prośbę do tych myśliwych, zacofanych, niech nie zaprzestają w swem działaniu, niech pobudzą ospałych czy niechętnych lub zniechęconych, a pewnie wrócą te minione czasy, gdy niejednemu na stanowisku zabrakło ładunków.

Może powyższa korespondencya, wywoła na mnie burzę, ale niestety, to co napisałem, jest prawdą, ale niech ściągnę na siebie wszelkie gromy, aby tylko tę ospałość w naszym powiecie otrząść — i podpisuję się nie inicyałami jak zwykle, ale pełnem nazwiskiem.

Zielona w kwietniu 1907.

Wiktor Słonecki.

Zielona dnia 5. maja 1907.

W Nrze 9 „Łowca“ z dnia 1. maja b. r. WP. S. Frankiewicz z Monasterca, wypowiada zagładę gołębiarzom, i doradza wytępienie ich polowaniem przy pomocy puhacza.

O ile moje doświadczenie sięga, twierdzę stanowczo, że ten sposób tępienia gołębiarzy i innych jastrzębi nie da żadnego, albo bardzo mały rezultat. Łudzi się tylko sam WP. S. Frankiewicz. Nie zaprzeczam, że przy puhaczu nie jednego jastrzębia zabić można, owszem, ale uważam takie polowanie jako miłą rozrywkę, ćwiczenie się w strzałach itp., ale nic ponadto. Bo nie przypuszczam, by ktokolwiek, a nawet sam i WP. S. F. poświęcił się li tylko polowaniu z puhaczem, w czasie choćby tylko przelotu wiosennego lub jesiennego, od świtu do nocy!

Ponieważ chcę obszerniej do „Łowca“ napisać o tępieniu szkodników — napomknę tu tylko, że łapanie jastrzębi na żelaza, nad koszem z gołębiem, znacznie lepszy rezultat wyda — a jeszcze lepszy, gdy z małym wydatkiem, poustawiamy w odpowiednich miejscach, nie wysokie słupy z żelazkami (Nr. 26 z fabryki E. Grell & Co. w Haynau, Weber i inni fabrykanci te same też robią).

Od kilku lat wraz z P. Leonem Starkiewiczem z Łuki używamy tych żelaz, z bardzo dobrym skutkiem, łapiemy

na nie jastrzębie rozmaitej wielkości, nie rzadko nawet puhacza lub orła, gdy do nas w odwiedziny przylecą.

Na każdy sposób jednak powinniśmy zgotować zagładę szkodnikom, by zwierzynę łowną przed nimi ochronić.

W. S.

Pomorzany w kwietniu 1907.

Wszelkie usiłowania podjęte przez Wydział Tow. łowieckiego, aby i nasz powiat zborowski podzielić na rejony łowieckie i oddać je poszczególnym delegatom w opiekę, spełzły na niczem.

Rok już minął, jak starania te podjęto i zaproszenia rozesłano — lecz jak dotychczas niema nikogo, któryby się chciał zająć tą sprawą. Czem tłumaczyć sobie tę apatyę, to ociąganie się i zwlekanie w rzeczy tak ważnej, jak poprawa stosunków łowieckich w naszym powiecie — niewiadomo; tembardziej, że powiat nasz może się poszczycić kilku pięknemi kniejami, których właściciele jednak, mimo ciągłych nawoływań ze strony Wydz. Tow. łowieckiego, niechcą powziąć inicyatywy w ukonstytuowaniu się grona delegatów w tutejszym powiecie, mając widocznie w pierwszym rzędzie, raczej osobiste interesa na względzie, niż dobro ogółu.

A szkoda, bo dużo jest ludzi chętnych, którzy zorganizowani i podzieleni odpowiednio, wiele dobrego mogliby zdziałać dla sprawy łowiectwa krajowego, zwłaszcza, że stosunki łowieckie w Zborowszczyźnie pozostawiają bardzo wiele do życzenia, bo prócz kilku wyżej wymienionych kniei, których właściciele istotnie racyonalnie hodują i chronią zwierzynę, w co wliczyć należy duży kompleks lasów Excel. hr. Romana Potockiego w Pomorzanach, resztą powiatu urąga wszelkim przepisom i ustawom łowieckim. I jak z jednej strony natura obdarzyła hojnie ten powiat wszelką zwierzyną — tak z drugiej strony wszystko i wszyscy jakoby sprzysięgli się na jej zagładę, — bo począwszy od chłopaka naszego, który się ze swoim psem, nigdy nie rozłącza, karmiąc go tem samem, jak rok długi zającami i wszelką inną zwierzyną w polu przebywającą, roi się nasz powiat od całej falangi niepowołanych myśliwych i kłusowników, którzy strzelają w każdej porze wszystko.

Gdy dodamy do tego zwierzynę drapieżną, którą się na każdym kroku spotyka, a której nikt nie tępi, będziemy mieli całokształt naszych stosunków łowieckich. Projektowana zmiana ustawy łowieckiej, oddająca prawo samodzielnego polowania posiadaczom 60 hektarów ziemi i wiele innych ustępstw, przyczyni się chyba tylko do pogorszenia dotychczasowych stosunków.

Ostatnia więc chwila nadeszła, by znalazł się kto w powiecie, którysby co rychlej zamienił w czyn projektowany od tak dawna podział powiatu na okręgi łowieckie. Niech tych parę słów przezemnie wypowiedzianych będzie bodźcem, do szybkiego zwołania delegatów i podziału okręgów a jeżeli moje nieudolne słowa nie potrafią jeszcze przemówić do przekonania, niech resztę dopowie tegoroczna straszna zima, która dokonała takiego spustuszenia w tutejszym zwierzostanie, że najstarsi ludzie czegoś podobnego nie pamiętają.

Dostateczną miarą tej klęski będzie, gdy wspomnę, że w samej Pomorzańszczyźnie wyginęło w tym roku przeszło 200 sztuk sarn, o czem zapewne zda dokładną relacyę w „Łowcu“ tutejszy rządca dóbr, jakoteż o kilku polowaniach, które się tutaj odbyły, a które nawiasem mówiąc, w porównaniu z zeszłym rokiem, pod względem rezultatów, były chyba ironią.

Kończę moją korespondencyę w nadziei, że stosunki nasze łowieckie wkrótce doznają radykalnej zmiany.

J. Piórkowski
Członek Tow. łowieckiego.

KRONIKA.

Rzeszów, 16. czerwca 1907.

Premiowe strzelanie urządzone przez „Towarzystwo myśliwych w Rzeszowie“. W pięknie przystrojonej strzelnicy wojskowej, wśród szumiących pól pod Rzeszowem położonej, w ślicznym dniu pogodnym wczorajszym zebrało się mnóstwo osób. Jednych wiodła chęć współzawodnictwa o palmę pierwszeństwa w turnieju strzeleckim, innych ciekawość i wielkie zainteresowanie się sprawą. Dało więc sobie rendez-vous, dość liczne obywatelstwo okoliczne, publiczność rzeszowska, wojskowość a nadto wszyscy prawie znani mistrze strzelania w kraju, mistrze zdobywający rokrocznie „szampionaty“ na turniejach strzeleckich we Lwowie.

Premiowe strzelanie urządzone zostało znakomicie, z wielką znajomością rzeczy i powinszować można komitetowi zupełnego sukcesu. Wielkie zainteresowanie budziło strzelanie do bardzo szybko poruszających się zajęcy, nowość dotąd u nas nie znana.

Współzawodników było bardzo wielu, do każdego rodzaju strzelania stawało po trzydziestu kilku.

Przy *I. strzelaniu z rewolwerów* wzięli:

I. Nagrodę: (Srebrny puhar, dar 40 p. piechoty) pan St. Pieńczykowski.

II. Nagrodę: (Srebrna papierośnica, dar 3 p. ułanów obr. kr.) p. por. Hau.

III. Nagrodę: (Popielnica z głową jelenia, dar Tow. myśliwych w Rzeszowie) p. major Witt.

Przy II. *strzelaniu do rogacza.* (tarcza stała):

I. Nagrodę: (Kłusownik, dar p. Rylskiego) p. H. Prek.

II. Nagrodę: (Garnitur na biurko z bronzu, dar p. pułk. Krauszlera) p. T. Metzig.

III. Nagrodę: (Dzban na wino, dar Excel. Jędrzejowicza) p. Edm. Rylski.

Przy *III. strzelaniu do dzika.* (tarcza ruchoma).

I. Nagrodę: (Setter z bronzu, dar ks. Radziwiłłowej) p. Eust. Rylski.

II. Nagrodę: (Kałamarz, dar 6 pułku ułanów) p. T. Metzig.

III. Nagrodę: (2 Obrazy, dar p. E. Rylskiego) pan Albrecht.

IV. Nagrodę: (Krzesło myśliwskie, dar Towarzystwa myśliwych) p. rotmistrz Br. Bourgeois.

Przy *IV. strzelaniu do zająca.* (tarcza ruchoma).

I. Nagrodę: (Zegar, dar p. St. Jędrzejowicza) p. rotm. Br. Wilczek.

II. Nagrodę: (Srebrna papierośnica) dar pana rotm. Orzechowskiego) p. H. Prek.

III. Nagroda: (Dzban na wino, dar. hr. Morstina) p. T. Metzig.

Przy *V. strzelaniu do krążków*.

I. Nagrodę: Tam-tam, dar ks. J. Radziwiłła, p. L. Szanecki.

II. Nagrodę: (Srebrna papierośnica, dar p. J. Jędrzejowicza) Wład. Zagórski.

III. Nagrodę: (Srebrna kasetka, dar 17 p. p. obr. kraj.) p. por. Ilau.

IV. Nagrodę (Torba myśl., dar Towarz. myśliwych w Rzeszowie) p. H. Prek. *Jeden z uczestników*.

Dział kinologiczny.

Cechy rasowe psów myśliwskich.

Wyżeł niemiecki krótkowłosy.

(Wedle postanowienia niemieckiej „Komisyi delegowanych“ z 1. czerwca 1896).

1. Wygląd ogólny. Średnia wielkość (około 50 do 60 cm. miary zasadniczej), wyżlica nieco niższa, budowa silna ale kształtna; poszczególne części przednich i tylnych członków proporcyonalne między sobą i w harmonii z kadłubem; w spokojnym chodzie głowa i szyja miernie podniesione, ogon trzymany po największej części wysoko i ukośnie, w czasie szukania więcej poziomo.

Wyraz twarzy inteligentny, w spoczynku poważny, w stanie podniecenia dobrotliwy.

2. Głowa średniej wielkości, nie zbyt ciężka, górna część głowy szeroka, łagodnie sklepiona, z boku widziana odsłania najwyższą część sklepienia w środku, kość tyłogłowia słabo wykształcona, kość nosowa (grzbiet nosowy) szeroka, przed oczami nie zwężona. Odstęp przed czołem nie wyskakuje nagle, lecz występuje stopniowo. Część twarzowa głowy z przodu i z boku oglądana, szeroka i stępiona. Wargi zapadają szczelnie, tworząc w kącie ust wyraźną gubę (fałd).

3. Zwisy (uszy) średnio długie, u góry nie za szerokie, u dołu tępo zaokrąglone, wysoko i w całej szerokości osadzone, nie zbyt daleko poza tyłogłów wystające i o ile możności, nie kręcąc się wcale, gładko, gęsto z głowy zwisają.

4. Oko. Lekko owalne, średnio wielkie, jasne, ani zbyt na wierzchu, ani zbyt głęboko osadzone, powieki naokoło dobrze przylegające, brunatne, w harmonii z uwłosieniem, ciemniejsze lub jaśniejsze, nigdy nie mające barwy żółtej, właściwej ptakom drapieżnym.

5. Nos. Zgodnie z maścią psa mniej lub więcej ciemno brunatny, z otwartemi nozdrzami i o silnie rozwiniętych muskułach. Nos podwójny nie dopuszczalny.

6. Szyja średniej długości, silna, w karku lekko zgięta, ku dołowi rozszerzająca się stopniowo do całej szerokości piersi.

Skóra na gardle szczelnie przylegająca.

7. Pierś i klatka piersiowa. Pierś widziana z boku przedstawia szerokość zastosowaną do korpusu, z boku widziana wydaje się głęboka; żebra tworzące klatkę piersiową są mocno wypukłe, nigdy płaskie.

8. Grzbiet szeroki, prosty i krótki.

9. Brzuch i boki. Brzuch ściśnięty, mianowicie w bokach, ku tyłowi miernie naciągnięty.

10. Ogon średnio długi, prosty lub bardzo słabo zakrzywiony, u nasady mocny, stopniowo się zwężający, lecz nie kończący się cienkim prętem.

U dołu silniej i więcej szorstko owłosiony, lecz nie szczotkowaty.

Mierne przycinanie ogona dozwolone.

11. Przednie członki. Ramiona ukośnie ustawione, łokcie nie wykręcone ani do środka, ani też na zewnątrz. Bieg (przedramię) i środkowa kość u przedniej nogi prosta i w silne muszkuły zaopatrzona; w nasadzie przedniej nogi (przedniego kolana) nie przegięta.

Palce dobrze sklepione i schodzące się, nierozpostarte, stopa z przodu widziana, okrągła, poduszeczka wielka i szorstka. Pazury dobrze zakrzywione.



12. Tylne członki. Zad, łydki muskularne, aż do stawu skokowego (nasady nogi) ani za stromo, ani też ukośnie, jak u charta, ustawione. Środkowa część tylnej strony nie zbyt ukośnie, lecz prawie prosto pod stawem skokowym osadzona.

Od tyłu widziane nie powinny się stawy skokowe wydawać wykręcone ani na wewnątrz ani na zewnątrz.

13. Owłosienie. Włos szorstki i gęsty, na uszach krótszy i miększy, u dolnej części ogona i na brzuchu grubszy, jednak nie wykazujący uderzającej różnicy.

14. Maść i odznaki. Dozwolonemi maśćmi są: czysto brunatna w różnych odcieniach i brunatna w połączeniu z białą; brunatna o dwu odcieniach u jednego psa nie jest pożądana.

15. Szczęka. Szczęka dolna nie powinna wysterczać nad górną i tylko nieznacznie za nią się skrywać.

16. Wady. Zbyt ociężała, niezgrabna, przeładowana budowa, pochyły grzbiet, nadmiernie duża głowa, tyłogłów stożkowaty, za silnie rozwinięta kość tyłogłowia, za długie, fałdziste, mięsiste uszy, nos koloru surowego mięsa, nie zupełnie domykające się powieki oczne (tak zwane rozszerzone gruczoły łzowe), krzywe przednóża, wykręcone na zewnątrz lub ściśnione łokcie, na zewnątrz wygięte nogi, płaskie lub z rozpostartymi palcami.

Nadmiernego przycinania ogona należy unikać, gdyż przez to uniemożliwia się ocenę psa.

Ogon u dorosłego psa odpowiada celowi, gdy kończy się 8 do 9 cm. powyżej stawu skokowego.

Następujące maści muszą być jako wadliwe uznane: czerwona, żółta, prążkowana, wilczata, brunatna z odznakami żółtemi lub jasnobrunatnemi, trójkolorowa i czysto biała. Ostrogi nie są pożądane.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

W Łańcucie u łowczego Lewickiego są do nabycia: 2 psy w I polu, anglo-czeskiej rasy, krase, w początkach tresury — 1 pies mięszaniec setter z gryfonem, krasy (biało-żółty), w II polu bardzo dobry — 3 jamniki krase (francuskie) mające po miesiącu — 4 jamniczki żółto-popielate i popielate, miesięczne, po bardzo dobrych i ciętych rodzicach.

Legawce 3 miesięczne pieski po znakomitej pointerce i oryginalnym gryfonie po sprzedania, suczki po 25 K., pieski po 50 K. Starasól — Woytowicz.

Sprzedam tanio sztuciec podwójny express, kal. 500, znakomicie ostrzelany i tesznerkę, kal. 1, doskonale bijący z lufami stalowemi Kruppa.

Informacyi udzieli Redakcya „Łowca“.

Na sprzedaż jamniki dwumiesięczne, piesek i dwie suczki, bardzo rasowe. Cena 20 koron za sztukę. Dwór Milatyn stary o. p. Milatyn nowy.

Kupię wyżła „Pointera“ w drugiem polu, dobrze ułożonego. Zarząd dóbr Bojary p. Dobrowlany.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**